



ON WIE, CZEGO PRAGNIE
KAŻDA KOBIETA

A.J. GABRYEL

FACET NA TELEFON

 WIELKA LITERA

[fragment książki](#)

ADAM

Pokój wypełnia rytmiczne pojękiwanie hotelowego łóżka, któremu towarzyszą zadyszane przekleństwa i błagania.

Pode mną ona, w zasadzie nieznajoma, przypadkowa i nieważna, a jednak w tej chwili wypełniająca większą część mego świata.

Doprowadzam ją do granicy spełnienia i sadystycznie zostawiam tam na chwilę lub dwie.

I zaczynam od nowa.

A ona pod moimi dłońmi jest rozedrganym czuciem, niczym więcej ponad czucie.

Gdy potem zasypia, zbieram się do wyjścia, spoglądając na ślady naszego wcześniejszego podniecenia. Zrzucone niecierpliwie ze stóp buty, leżące w nieładzie ubrania, wysypaną na podłogę zawartość torebki, pomadkę, zapalniczkę, klucze, rozerwane sreberko po dureksie.

Wkładam pogniecioną koszulę, wymięte spodnie. Jeszcze raz wracam wzrokiem do śpiącej. Jej włosy, tak niedawno idealnie ułożone, teraz są splątany kołtunem, perfekcyjnie nałożony makijaż rozmazał się, pozostawiając ślady na pościeli i mojej skórze. Za dnia emanuje tą specyficzną elegancją, która każe ci wierzyć, że zaszczycą cię swoją obecnością, lecz teraz, spoczywając apatycznie, wygląda na zupełnie zużytą. Ale zadowolona; jej usta zdobi lekki uśmiech.

Zazwyczaj wstaję około jedenastej, dla niektórych skandalicznie późno, ale biorąc pod uwagę, że nieczęsto zdarza mi się zasypiać przed czwartą nad ranem, uważam, że to całkiem przyzwoita pora.

Szybki, lodowaty prysznic.

Nigdy nie jem śniadania.

Ubieram się w czarne, nylonowe spodnie dresowe, biały bawełniany podkoszulek, naciągam ulubione adidas, jeszcze butelka nałęczowianki, na głowę bejsbolówka, do kieszeni iPod.

Czas na „ukaranie” ciała za czyny popełnione poprzedniego wieczoru. Rzecz jasna bez zahamowań popełnię je znowu, niech tylko nadejdzie kolejna noc. Ktoś mógłby powiedzieć, że faktycznie karzę się za grzechy, że nie biegnę, a uciekam. Lecz takie melodramatyczne gadanie to jak psychiczny onanizm. Niektórzy to lubią, ja niekoniecznie.

Biegnę w rytm Gorillaz, najpierw *Clint Eastwood*, potem *Dirty Harry* i reszta.

Dwadzieścia kilometrów po zakopconej, śmierdzącej asfalcem Warszawie. Nie skręcam w stronę parków czy skwerów, to ma być kara, nie przyjemność. Biegnę, nie widząc niczego, wszystko rozmazuje mi się przed oczami, słyszę tylko muzykę i łomot serca, czuję strużki potu spływające po czole, plecach i torsie, skoncentrowany na rytmicznych uderzeniach stóp o chodnik.

W połowie dystansu jak zwykle kończy mi się woda, język przywiera do wyschniętego na wiór podniebienia. Nieważne, omijam sklepy. Bieg ma być karą.

Kiedy kończę, nie czuję siebie, tylko zmęczenie.

W domu kolejny prysznic, coś do zjedzenia, przeglądam „Rzeczpospolitą” i robię wszystko, co mogę, żeby czas mijał jak najwolniej, by noc nadeszła później niż zwykle.

Tak, wygląda na to, że dziś jest jeden z tych dni, gdy mi się najzwyczajniej w świecie nie chce.

Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do jednego ze starych przyjaciół, jeszcze z czasów liceum, jednak wtedy znów będę ściemniał jak najęty, więc po co?

W głębi duszy doskonale wiem, że nigdy nie przestanę kłamać. Bo z chwilą, kiedy przestałbym kłamać, stałbym się jednym wielkim rozczarowaniem. Dlatego też pozwalam wszystkim wierzyć, iż jestem kimś ważnym, szanowanym, przedsiębiorczym, a nade wszystko zajęтым. Do tego stopnia, że widuję znajomych sporadycznie, może cztery, może sześć razy do roku.

Miewam gości, gdyż niekiedy nie możesz powiedzieć „nie” ludziom, których znasz ponad połowę życia. I wizyty te przynoszą mi zwykle kilka chwil odprężenia.

Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że wizyty te są czasem małego szczęścia, gdyby nie to, że przędę kłamstwa niczym pająk swoją nić, a pajęczyna z nich utkana jest już tak stara, iż stała się ciężka, gruba, tłusta, kleista.

Dobra, dość tego. Noc na mnie czeka.

O dwudziestej prysznic, dziś rezygnuję z golenia, tylko odrobina EdP Gaultier², który od kilku lat jest moim ulubionym zapachem.

Z szafy wyciągam granatowe džinsy diesle, białą koszulę od Armaniego, skórzaną kurtkę, brązowe buty Gucciego i pasujący do nich pasek. Sprawdzam ilość gotówki w portfelu, przez moment rozważam, czy nie pojechać motocyklem, poczuć chwilę beztroskiej swobody, ale nie, dzisiaj odpada. Organizm domaga się procentów, a biorąc pod uwagę mój wisielczy nastrój, na jednym drinku się nie skończy.

Taryfiarz wysadza mnie przed klubem. Gdyby nie to, co się tu dzieje i po co tu przychodzę, to nawet lubiłbym to miejsce, a w czasach, gdy miałem około dwudziestu lat, prawdopodobnie uwielbiałbym ten lokal. Ale dziś jest dla mnie tylko miejscem pracy.

To jeden z tych lokali, gdzie ludzie przychodzą, by zgubić swą duszę. Jeśli masz wystarczająco dużo kieszonki, kupisz tu wszystko.

Wnętrze jest głośnie, ciemne, przestronne, z ambicjami do szyku i elegancji, o czym mają świadczyć żyrandole ozdobione kryształami Swarovskiego, które mieniają się, odbijają kolorowe światła, tworząc setki małych tęczy na ścianach.

Marmurowa posadzka nadal jeszcze lśni; pod koniec wieczoru będzie lepka od rozlanych drinków.

Zamawiam pięćdziesiątkę Belvedere Intense, wypijam, zamawiam drugą.

Parkiet pełen jest ślicznych młodych dziewczyn, o lekko nieobecnym wyrazie twarzy, mocno opalonych, ubranych w tyle co nic. Większość wygląda, jakby przechodziła przez któreś ze stadiów niedożywienia, jak nakazuje dzisiejsza moda. Zupełnie nie wiem, skąd biorą energię, by poruszać nogami.

Jest to istny targ z ciałami na sprzedaż, czegokolwiek byś szukał, tu na pewno to znajdziesz. Te dziewczyny, więcej niż łatwe, mają głowy wypchane nieuleczalnymi marzeniami o karierze w wielkim mieście, o życiu w świetle fleszów, o pieniądzach, o sławie, zwłaszcza o sławie. Pochodzą zwykle z różnych wiosek, małych miasteczek i nie wiedzą, że przed nimi przewinęły się tu już tysiące podobnych do nich dziewczyn. Głupich, łykających kit, który wciska im biznesmen w garniturze od YSL, mówiąc, że są wyjątkowe, jedyne. Fakt, w większości przypadków są śliczne, lecz nie wyjątkowe, a nigdy jedyne.

Wiem, że za chwilę ktoś do mnie podejdzie. Czekam zarówno ze zniecierpliwieniem, jak i z rosnącym na-

pięciem. Właśnie mam zamówić trzecią pięćdziesiątkę, gdy czyjaś dłoń dotyka moich pleców.

Obracam się powoli. Wdech, wydech, wdech.

Szlag by trafił, to jedna z licealistek – jak nazywają je stali bywalcy klubu. Długowłosa, długonoga, długorzęsa. Ubrana jest w pokrytą srebrzystymi cekinami, ledwie zakrywającą tyłek mikromini i czarną koszulkę na ramiączkach, tak obcisłą, że wygląda jak namalowana na jej ciele; do tego czarne sandały na wysokim obcasie. Szarawe, obrysowane ciemną kredką oczy, rzęsy – oczywiście przedłużane – ma tak długie, że dotykają policzków, gdy zalotnie nimi trzepocze. Bez ciężkiego makijażu, bez ust w kolorze wina byłaby naprawdę śliczna. Jej włosy błyszczą zdrowiem, skóra, choć zdecydowanie za bardzo opalona, wygląda na kusząco gładką.

– Cześć – mówi zbyt cicho, robiąc przy tym niewinną minę.

W tym momencie już wiem, że niewinna nie jest i dokładnie wie, co robi. Rutyniara, bez dwóch zdań, choć daję jej maks osiemnaście lat.

– Cześć – odpowiadam chłodno.

– Jestem Aga, siedzisz sam? Wyglądasz na samotnego – mówi z fałszywym współczuciem w głosie, łąsząc się jednocześnie.

– Przyszedłem sam – uściślam.

– A z kim wyjdiesz? – pyta, kładąc dłoń na moim udzie i pochylając się tak, bym nie przeoczył braku stanika na jej pięknych, jędrnych, młodych piersiach.

– Wiesz... – zawieszam głos i lekko odsuwam ją od siebie.

– Tak? – pyta z czymś wyraźnie słyszalnym w głosie, nie mogę się zdecydować, czy jest to zniecierpliwienie, czy nadzieja.

– ...czekam na kogoś – dopowiadam, rozglądając się dookoła.

– Och, naprawdę? – Jej twarz przybiera najpierw wyraz zranienia, jakbym ją spoliczkował, po czym stopniowo przechodzi w minę kopniętego psiaka. W oczach brakuje jej tylko łez.

– Uwierz mi, nie jestem tym, kogo szukasz – staram się, by brzmiało to przyjacielsko i stanowczo zarazem.

– Skąd możesz wiedzieć, kogo szukam?

Zaczyna mnie już lekko wkurzać, zwłaszcza że jednocześnie wciska się między moje uda, lekko napierając na mnie swymi młodymi, lecz pełnymi pierściami.

– Dziewczyno, mówię przecież, że czekam na kogoś, tak trudno ci to zrozumieć? – porzucam przyjacielski ton, bo widzę, że jest niezmywalna.

– To jakiś kolega? Bo mogę z wami dwoma...

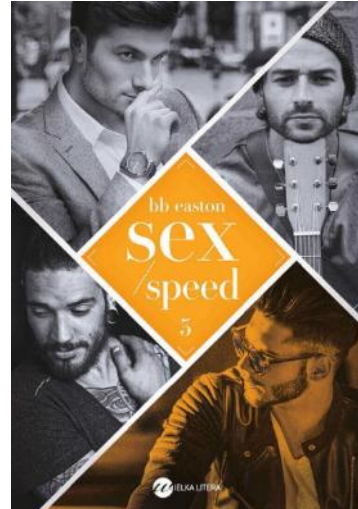
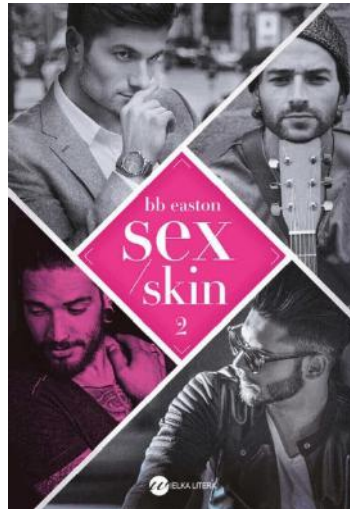
– Nie, to nie kolega, więc naprawdę lepiej sobie odpuść.

Jezu, czy ona jest ślepa, naprawdę nie widzi, że jestem taki sam jak ona? Rzuca mi pełne urazy i niedowierzania spojrzenie i odchodzi powoli, kołysząc biodrami. Nie uszła jeszcze pięciu kroków, gdy przykleja się do niej gość pod czterdziestkę i szepcze jej coś do

ucha, a jej twarz znów rozpromienia się uśmiechem pełnym nadziei.

Odrywam od nich wzrok i wracam do skanowania parkietu, na którym zaczyna przybywać wciąż dość jeszcze trzeźwych imprezowiczek, tańczących w rytm NYC beat. W większości zdesperowanych ciał, które były tu wczoraj i prawdopodobnie będą jutro, za tydzień, za miesiąc.

Mogą zainteresować Cię również:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)
Zapraszamy na wielkalitera.pl